



Jan Winnik

Sygnatura notacji: **N0849**

Data urodzenia: **22.04.1944 r.**

Data nagrania: **2014 r.**

Miejsce nagrania: **OBEN IPN, Wrocław, Polska**

Czas nagrania: **41 min**

Format nagrania: **video**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Jan Winnik: Mam opowiadać o sobie i życiu w stanie wojennym. To może parę słów, informacji takich o sobie. Urodziłem się w Chodczkowie Wielkim. To jest wieś dziesięć kilometrów od Tarnopola, na obecnej Ukrainie. Tam rodzice poznali dogłębnie, co to jest okupacja sowiecka i byłem wychowywany, i karmiony ich opowieściami o trudach życia właśnie pod okupacją sowiecką, a także o trudach życia potem już tutaj. Rodzice byli rolnikami, więc też dostatecznie dużo cierpieli w okresie stalinowskim. Aż potem do stanu wojennego. Dla nich nastanie stanu wojennego było też ciężkim przeżyciem ze względu na mnie, bo w 1980 roku włączyłem się w nurt Solidarności. Wywodzę się z zakładu takiego dużego, Jelczańskie Zakłady Samochodowe, który w tym czasie miał osiem i pół tysiąca załogi i tam mieliśmy swoje takie pracownicze tematy do rozstrzygnięcia, gdzie, jak zaczęły być na Wybrzeżu niepokoje, nie tylko na wybrzeżu, to także w Jelczu bardzo łatwo ludzie się zdenerwowali i doszło do strajku. Ponieważ w czasie wieczoru, w którym zaczął się strajk, dyrektor zaatakował mnie w ten sposób, że ja jestem wicherzycielem i rano rozsypał po zakładzie ulotki szkalujące mnie. W ten sposób tak jakby sam przyczynił się do tego, że zostałem wybranym potem przewodniczącym komisji fabrycznej i potem w następnych wyborach zostałem wybrany coraz szczebel wyżej, delegatem na zjazd krajowy, a także na zjeździe krajowym zostałem wybrany członkiem komisji krajowej, a w regionie zostałem powołany przez zarząd regionu do pełnienia funkcji wiceprzewodniczącego zarządu regionu do spraw województwa wrocławskiego. I stan wojenny zastał mnie, gdy wracałem z kolegami, u boku Władka Frąsiniuka, Jasia Senia i innych kolegów z Rzeszowa, gdy wracaliśmy z obrad komisji krajowej, to w Poznaniu już dowiedzieliśmy się, że... To znaczy o ruchach takich wojsk i przerwanej łączności dowiedzieliśmy się już na obradach komisji krajowej i szybko zapadła decyzja nasza, by wracać do regionu, a konkretnie co się stało, że nastął stan wojenny dowiedzieliśmy się, oglądając już telewizor z Jaruzelskim na dworcu w Poznaniu. Uniknęliśmy zatrzymania

dzięki takiemu refleksowi kolejarzy, którzy wiedząc, żeby swoją łącznością, wiedząc, że ubecja czeka na działaczy, którzy będą powracać z Gdańska, czyli konkretnie na Frasyniuka i delegatów, czyli mnie i innych kolegów, że ubecja czeka na dworcu na ten pociąg, maszynista powiadomił konduktora, konduktor zorientował się, kim jesteśmy. Pewnie twarz Władka Frasyniuka była na tyle znana, że... Ten zresztą po sprawdzanych biletach zorientował się, że jedziemy z Gdańska i poinformował nas, że jeżeli nas to interesuje, to pociąg zwolni na stacji Lipa Piotrowska tak, że będziemy mogli bezpiecznie wyskoczyć i tak zrobiliśmy. Idąc już... Wrocław zastaliśmy, to była 6:00 rano, zastaliśmy już w strajku. Już nie kursowały autobusy, więc na pieszo szliśmy z Lipy Piotrowskiej, tamtędy Obornicką, wzdłuż jednostki koło jednostek wojskowych i obserwowaliśmy już te ruchy. Dla nas śmieszne, bo robiące tylko tłok na ulicach. Z tych koszar wojskowych na Obornickiej tam, czy to na Stołczyńskiej. W każdym bądź razie tam przy trasie, którą szliśmy, wyjeżdżały samochody załadowane jakimiś materacami, nie jakąś bronią, by stłumić bunt, strajk, tylko kursowały wzdłuż tej ulicy, tam i z powrotem, dokąd one dojeżdżały, to nie wiem, gdzieś pewnie do miasta i po tym, budząc tylko jakieś takie wrażenie optyczne, że jest pełno wojska, a załadowane były w zasadzie siennikami, byle czym. I my, idąc, żartując, prosiliśmy ich, by nas podrzucili. "Nie, bo jest stan wojenny", prawda? To mi utkwiło, że gdyby wiedzieli, że prosi ich Frasyniuk o to, żeby go podrzuciło wojsko do miasta, to by chętnie ten, chociaż kto wie, bo ci biedni żołnierze sami byli poprzestraszani, prawda? I może nawet byliby uczynni wtedy. Natomiast taka była sytuacja. Gdy doszliśmy do Wrocławia, Władek Frasyniuk porozdzielał, mnie dał za zadanie rozpoznania, na ile są... Bo już w Bydgoszczy, przy drugiej przesiadce dowiedzieliśmy się, że zarządy regionów zostały rozbite, bo na dworcu w Bydgoszczy pani w okienku pocztowym, gdy chcieliśmy zadzwonić, powiedziała, że nieczynna jest komunikacja telefoniczna, natomiast ze słyszenia już poinformowała nas, że ze słyszenia wie, że są nocne aresztowania i zarząd regionu... Był atak Bydgoszczy na zarząd regionu. Już wracając do Wrocławia, w pociągu wiedzieliśmy, co się dzieje. Tutaj dostałem od Władka zadanie rozpoznania, co jest z wrocławską siedzibą na Mazowieckiej, na ile są... Kto się z kolegów zdołał uratować i ten. Więc tej niedzieli, pierwszej, po wyjściu z pociągu, Władek poszedł na zajezdnię na Słowiańską, Jasiu Seń miał udać się do ławy na rozpoznanie, a ja miałem rozpoznać Wrocław. Więc ganiałem. Z tym, że to było trudno, bo była niedziela. I wiadomo, że zakłady nieczynne, natomiast rozpoznałem, znałem kilka adresów kolegów, udałem się do mieszkania Marka Petresowicza. Nie zastałem go. Okazało się, potem się okazało, że on dzielnie bronił Mazowieckiej siedziby i pomagał w wyprowadzaniu sprzętu jeszcze poligraficznego, papieru, co się dało. Tam inni koledzy się ten. Ja natomiast przyłapałem się na tym, że ja kompletnie już nie mam przy sobie pieniędzy na taksówkę. Tramwaje nie jeżdżą i całą niedzielę chodziłem na pieszo. I największe zmartwienie było też to, że już pod wieczór, ja nie miałem gdzie iść na nocleg. Nie wiem. Pech czy ten. Mieszkania kolegów, którzy ten, nie było ich w domu, więc szedłem na pieszo aż na ulicę Francuską. To jest tam... Zapomniałem jak się ta dzielnica nazywa. Australijska, Francuska. I tam zastałem jednego z kolegów, którego przysłałem tutaj do domu na zwiady, co się dzieje. Wziął mi zapas skarpetek, koszul, jakieś takie tam podstawowe rzeczy do przebrania i uspokoił rodzinę, żonę, dzieci i tutaj mieszkali, żyli jeszcze moi rodzice, staruszkowie. Że po prostu nie zostałem zatrzymany, że muszę się ukrywać. Dowiedział też się, co się stało, w jaki sposób szukano za mną tutaj w domu. Około północy dom został otoczony przez uzbrojone wojsko, ZOMO czy ten, żona nie potrafi teraz ten, bo to była noc. Do domu wdarło się kilku z długą bronią. Gdy im powiedziała, że jestem na obradach, że jeszcze nie wróciłem z obrad z Gdańska, komisji krajowej, pobieżnie tylko zajrzeli po kątach i szybko wrócili, odjechali. Ale narobili dużo, bardzo dużo złego wrażenia. Szczególnie dzieci zaczęły płakać, bo wejście to było bardzo takie brutalne z łomotaniem, koło północy dom już był zaryglowany, a oni jednak walili w drzwi. Tak że... Ja natomiast zaraz na następny dzień znalazłem

kontakt z Marianem Oziewiczem. To jest późniejszy... Wówczas jeszcze nie było podziału, rozłamu w Solidarności na Solidarność Walczącą i ten. Natomiast wtedy spotkałem Mariana Oziewicza, który już umówiony ze mną przyniósł do podpisania pierwsze ulotki. Czyli już w poniedziałek, czyli w niedzielę wylądowaliśmy we Wrocławiu, 13., czyli już 14. ukazały się pierwsze ulotki z moim podpisem. Tam gdzie w tej teczce IPN-u ona jest, ta ulotka jako dowód przestępstwa. I tak zaczął się kontakt mój z podziemiem. Z tym, że zdarzyła się taka sytuacja, że mieszkając u kolegi we Wrocławiu, to już opowiem o takiej humorystycznej, ale też, co to znaczy być ściganym, nie? Czyli przeżycia osoby ściganej. Więc przez parę dni, mieszkając na ulicy Stawowej, blisko dworca głównego, u koleżki kawalera, schodziliśmy się tradycyjnie do niego zawsze na jakieś pogaduszki. Mnie to pasowało, bo mieszkając poza Wrocławiem miałem gdzie czekać na pociąg i ten. I w tym momencie tam już wiedzieli wszyscy, stali byli bywalcy, że muszę się ukrywać, mieszkam u Wiesia. Koło dworca miał taką smażalnię w takiej budzie koleżka Stefan, który sprzedawał kurczaki, więc wyżerkę też mieliśmy dobrą, bo on karmił mnie. Ale ten Stefan, bardzo dobrze mu się powodziło. On jeździł za granicę nie po to, żeby zarabiać, tylko żeby wydawać pieniądze. Przyszedł raz pijany z pocieszeniem dla mnie, że: „Janek, nie martw się, idę do szefa komendy wojewódzkiej. Nakopię mu w tyłek i powiem, żeby się od ciebie odwalił, bo to jest mój kolega”. Inaczej jeszcze mówi: „Ja go utrzymuję”. Czyli on opłacał się ten, a byli na takiej stopie, że ten. I nie dał się zatrzymać. Wyszedł. Nawalony jak bela i musiałem uciekać z tego miejsca w sposób błyskawiczny. Nie uprzedzając innych, tylko ten. Udałem się wtedy, ponieważ w pobliskiej wsi Czernica, w której mieszkam od 1945 roku, jest dużo osób znajomych z Chodaczkowa. To jest wsi tam na wschodzie, skąd się wywodzę i ja, bo ja się tam urodziłem. I także wielu kolegów z Jelcza, bo do Jelcza dowożono autobusami w promieniu 40 kilometrów. I tam do Czernicy było bardzo niebezpiecznie przychodzić, chociaż tutaj też jest wielu znajomych i sąsiadów, ale skoro byłem ścigany, to ten. Udałem się do Gajkowa i tam w zasadzie szedłem do kogo innego, ale po drodze napotkałem, spotkała mnie pani Janina Szumigalska. Tu wymienię, bo bardzo wdzięczny jestem tejże rodzinie. Zdziwiona, że ja tak jawnie w dzień idę przez wieś, nie? I mówi: „Janek, przecież na twój temat to okoliczne, cała gmina szumi, bo wiedzą, że nie zostałeś schwyty. Zastanawiają się, gdzie ty jesteś, a ty tak ten?” I mówi: „Ty nie możesz tak chodzić. Chodź do nas”. Tak że ja mówię, że idę, bo myślę, że tam uzyskam schronienie u kolegi. „Nie, chodź do nas”. I przyprowadziła mnie do domu, zapewniając, przedstawiła mężowi, którego zresztą świetnie znałem i obydwójce podjęli decyzję, że nie wypuścili mnie już i u nich przez około półtora roku miałem schronienie. O tyle świetne, że Franciszek, też doświadczony w tym względzie, że znał, co to komuna, bo stamtąd, skąd moi rodzice, się wywodził, a ponieważ przeszedł szlak bojowy tam od wschodu do, bo go ruscy złapali w łapance, wzięli do wojska, stamtąd cały szlak aż do Berlina, to tak jakby tego typu jakieś strachy, że, tak jak było w liście gończym, że za pomoc dla mnie, pomoc mnie obiecuje ubecja 15 lat więzienia. To dla nich było... Oni wiedzieli, że są zdolni nawet więcej, że wywieźć na Sybir, bo jego ojciec, Franka ojciec i Anki ojciec byli też tymi, którzy w 1940 roku właśnie, to, co panu opowiadałem, wywozili na Sybir tymi saniami do pociągu i ten. Więc nie przestraszyło ich to. Mówi: „Spokojnie, to trzeba ten...”, więc zaraz dali znać tutaj rodzinie, że ja jestem bezpieczny u nich już, nie gdzieś we Wrocławiu. Nawiazali kontakt, w jaki sposób, tak że wieści były przekazywane, co się dzieje tutaj przez fakt, że spotykali się w GS-ie. GS to taki punkt prowadzony przez Gminną Spółdzielnię. Punkt handlowy, gdzie w tych czasach nie można było nigdzie kupić nawozu, węgla, coś tam, tylko wszystko w tym GS-ie, nie? I tam codziennie od rana duże kolejki, duży ruch i to był bardzo bezpieczny sposób komunikowania się tegoż Franka właśnie, który mnie ukrywał, tej rodziny Szumialskich, z moją rodziną. Bo jeden i drugi najpierw się przywitał z około 50 innymi ludźmi, a potem chwileczkę wymienili tylko ten, tak że obserwację, a była ścisła inwigilacja z tego, co wiem, i domu, i ojca, i żony, to trudno

było się kapnąć, czy rzeczywiście to jest ten, bo jakieś spotkania, rozmowa. Tam na jednej z wystaw w rynku, organizowanej przez IPN wyczytałem, że odbyła się po takim spotkaniu rewizja w Chrzęstawie, w sąsiedniej wiosce, właśnie w wyniku śledzenia spotkania, z kim się kontaktuje mój ojciec w GS-ie i tenże potem opowiadał, i jest dowód tam gdzieś w teczce w IPN-ie w dokumentach, bo było to na wystawie, że przeszukano u niego za mną całe gospodarstwo. Potem tata mi mówił, że widzieli, że z nim rozmawiałem, to pojechali. Tak że zmartwieniem... Ukrywanie się to jest bardzo duże obciążenie psychiczne. Bo fakt, że w końcu wyląduję się w więzieniu, że to tak w tej sytuacji będzie czy ma być, czy jest to normalne w komunie, to do tego przyzwyczailiśmy się już, omawiając sytuację przed wprowadzeniem stanu wojennego na posiedzeniach zarządu we Wrocławiu, gdzie decyzją... Nie decyzją, zaleceniem zarządu, nawet była opracowana taka instrukcja, coś w rodzaju zalecenia dla działaczy, by w grudniu, bo to posiedzenie zarządu było na początku grudnia, by przez grudzień jak najmniej przebywać w domu, by przewodniczący komisji zakładowych też powyznaczali jakichś swoich następców, zastępców. Teraz widać, potem okazało się, jakie to było śmieszne i naiwne, i niemożliwe do wprowadzenia, ale takie zalecenia zarządu regionu Dolny Śląsk były. Bo spodziewaliśmy się. Dlatego wyprowadziliśmy te 80 milionów i wiedzieliśmy, że będzie atak po wielu sygnałach, które choćby poczciarze, łącznościowcy dawali nam, żeby odbyła się taka zdecydowana próba wyłączenia telefonów. Jakąś tam wajchę. Po prostu wyłączyli. Mimo protestów dyrekcji, techników, że w ten sposób wyłączenie lub włączenie nagłe tym jakimś tam głównym wyłącznikiem, że to trzeba stopniowo, bo inaczej powstają tam jakieś przepięcia czy coś i zostanie... Nie. To tym żołdakom nie przemawiało, więc jak tak zrobili, wyłączyli i wyłączyli, tam poszły jakieś układy, ale oni przybiegli i od razu w zarządzie regionu meldowali nam, a my po analizie już wiedzieliśmy, że to jest próba przed czymś drastycznym, czyli myśmy to nazywali wtedy stanem wyjątkowym. Okazało się, że stan wyjątkowy to nie mógł być, bo nie było takiego zapisu w konstytucji, więc wprowadzono stan wojenny. Przeliczyliśmy się też z terminem, bo Wrona wycwaniała nas, bo myśmy zakładali, że odbędzie się ten atak 16. Tam, z tego względu, że tam były jakieś posiedzenia sejmiku, coś, to tam koledzy mówili, ci znawcy, konstytucjoniści mówią, że teraz nie mogą, bo posiedzenie sejmiku, a to okazuje się, że mogli i zaatakowali. W każdym bądź razie na tym posiedzeniu zarządu, na początku grudnia, były omawiane sytuacje, już twardo wiedzieliśmy, że atak na związek będzie. Jeszcze Karol Modzelewski pocieszał nas, że: "Nie bójcie się, pamiętajcie, że... - ja pamiętam te słowa - w więzieniu jest bezpieczniej niż na ulicy". Nie wiem, dlaczego tak mówił, skoro już wiedział wtedy, bo kolportowaliśmy już wtedy ten Archipelag GUłag i o Katyniu też mówiliśmy, więc... Ale pewnie tak nas chciał, działaczy uspokoić, bo trzeba przyznać, że tego typu postaci, jak Karol Modzelewski, Jacek Kuroń, cała ta lewica wtedy jeszcze cieszyła się wśród nas, działaczy wywodzących się z zakładów pracy, cieszyła się dużym autorytetem i poważaniem. Chociaż już wtedy sprzeczałyśmy się na temat tego socjalizmu z ludzką twarzą, że to nie tak. Ale muszę się przyznać, że wtedy nikomu, nie wiem, czy nikomu, mnie i wielu nie przychodziło do głowy, że ten system może tak szybko paść. Po prostu nasze działania były na to, by przetrwać, by kształcić, by pokazywać, że można żyć, nie poddając się komunie, ale nie przypuszczaliśmy, że to tak prędko. Prędko, no, czekaliśmy potem dziesięć lat, ale że to tak prędko może paść. I stało się. A tak, skończyłem na tym, że w Gajkowie uzyskałem schronienie. Z tym, że szybko miałem wiadomości, co jest w moim macierzystym zakładzie i w okolicy. Trudniej było co we Wrocławiu, natomiast świetnymi łącznikami okazali się ci gospodarze. Właśnie Franciszek, Janina Szumigalscy, ci, którzy sami zaciągnęli mnie do siebie, by mnie ukrywać. Ja jestem... Już świętej pamięci są, ja jestem im bardzo wdzięczny i przy każdej okazji powtarzam tę wdzięczność, natomiast powstał cały łańcuszek osób wokół mnie. Oczywiście dalsza rodzina Janki, czyli siostra Józka mieszkająca obok. Zaraz udałem się do ówczesnego proboszcza tam, księdza Michała Drymajły, który

powiadomił mojego proboszcza, gdzie ja jestem i wtedy już regularne spotkania były na plebanii w Gajkowie właśnie, a księża swoją drogą spotykali się, więc od razu wiedziałem, że w Oławie ksiądz Janowski przechowuje sztandar z Jelcza, więc wiedziałem, kto ten sztandar tam zaniósł, co się dzieje w Jelczu. Tak że ta łączność była. Ja wiedziałem niemal wszystko. Żona pracowała w szkole tutaj podstawowej w Czernicy, więc wiele nauczycieli, też była struktura Solidarności, więc też z kim trzeba było, to wtajemniczyła go, więc kilka osób, a chcę tutaj wymienić szczególnego takiego, który okazał się niemalże przewodnikiem, takim GPS-em po podziemiu wrocławskim, to był Andrzej Żurkowski. Taki młody inżynier, który mieszkał tutaj w blokach, a wytypowałem go na takiego łącznika najbardziej wtajemniczonego w ten sposób zgodnie z zaleceniem, jakie dała nam taka pewna pani we Wrocławiu, która starała się nas przeszkolić w temacie konspiracji. Chyba się nazywała pani Okoń, ale już mi wyleciało, gdzie mówiła być bardzo ostrożnym ze względu na działania, ona to nazywała, tej policji tajnej, milicji tajnej i nie należy się sugerować tymi bogoojczyźnianymi jakimiś postaciami, hasłami, którzy tam na głos wykrzykują, udają, że się nie boją i ten. Należy typować na łączników samemu. Spoza tych znanych. Wytypować sobie postać i ten. I przypomniało mi się to, że znałem taką panią, już świętej pamięci, właśnie mamę Andrzeja. Andrzeja nie znałem, nigdy nie rozmawialiśmy, natomiast ona opowiadała tutaj jeszcze przed stanem wojennym, biorąc mleko u rodziców i ten, jak sama wychowuje Andrzeja, bo ojciec został w Wałbrzychu zakatowany przez UB i stąd znałem historię tegoż Andrzeja. Gdy mu zaproponowałem, ukrywając się, dając pytanie, czy zechce być ten, kompletnie prędzej z nim nie rozmawiając. Rzeczywiście z kimś, kto musiał już być też w strukturach gdzieś we Wrocławiu, bo błyskawicznie nawiązałem łączność z Gieniem Szumiką, na nowo z Kornelem Morawieckim i ten, bo przypomnę, że uciekałem nagle tam przed tym Stefanem, który szedł, więc ta łączność bez umówienia się zerwała i musiałem okrężną drogą na nowo nawiązywać łączność. Tak że szczęśliwy byłem, że w Jelczu powstała grupa jelczańska, o której ja, niemal przez fakt, że właśnie to przechodziło przez księży, grupa ta spotykała się też u księży jelczańskich, więc ja wiedziałem, co się tam dzieje i potem oni też już dotarli do mnie swoją drogą, nie przez ten. Tak że obciążeniem psychicznym.. Obciążenie psychiczne to był największy taki wróg ukrywającego się, czyli zmartwienie, co w domu, jak ta dwójka małych dzieci, córka jedna 14 lat, druga 10, więc starzy rodzice, którzy już raz przeżyli, tak jak wspominałem, ojciec był świadkiem tej wywózki na Sybir, czyli wiedzieli, z jakim reżimem mają do czynienia, więc to zmartwienie było bardzo. A jeszcze jedno zmartwienie doszło, które rzeczywiście mnie w stanie wojennym nabiło wręcz. Tuż przed stanem wojennym w zarządzie regionu naszego we Wrocławiu zaistniała taka sytuacja, że zjawił się zbieg z armii sowieckiej w Oławie. Raz przyszedłem do pracy, ja przyjeżdżałem prawie godzinę prędzej, bo przyjeżdżałem o godzinie 7:00, a zarząd regionu na Mazowieckiej był czynny od 8:00. Ze względu na takie połączenia autobusowe. Po prostu musiałem jeździć autobusem, bo pociągami, to bym musiał z dworca głównego na Mazowiecką, a tak tutaj z Placu Grunwaldzkiego miałem blisko. Przychodziłem o 7:00 i pewnego razu, jesiennego już dnia, 1981 roku, gospodarz obiektu na Mazowieckiej, tam, gdzie mieliśmy siedziby, przywołał, podszedł do mnie i szeptem mówi, że: „Panie Janku...”, nie „panie Janku”, bo on się tytułami tam zwracał. W każdym bądź razie mówi: „Czekam na któregoś z szefów. Pan jest pierwszy. Tutaj jest żołnierz sowiecki”. Gdzieś tam skryty w ubikacji. Jak go zobaczyłem, to przemarznięty, dygotający, możliwe i że ze strachu. Na ile... Trudno było... Wydawało mi się, że jak się tyle lat w podstawówce i w technikum, i potem na lektoracie rosyjskiego uczyłem, to że się porozumiemy z nim łatwo. Okazało się, że nie, że mój rosyjski jest tak słaby, że poczekałem jeszcze na drugiego kolegę, taki Roman Kloc. Ukryliśmy go na strychu tego budynku i wzięty... wzięty w przepytania powiedział, że uciekł z jednostki pod Oławą. W jaki sposób? Rowerem. W nocy jechał. I rano dotarł, dopytując, dotarł. Napędził nam tym cholernie dużo strachu, bo zaczęły napływać wątpliwości,

co z nim robić. Bo tak, mogła to być prowokacja jakaś tych służb sowieckich i że tutaj proszę bardzo, ukrywając biedaj i za to ukarać porządnie tych, którzy mu pomagają. Jeżeli nie prowokacja służb, to piorun wie, czy nie pomagamy jakiemuś mordercy, jakiemuś, który ucieka przez sprawiedliwość, więc wiele dylematów, ale z drugiej strony świadomość, że jeżeli nie pomożemy, a rzeczywiście jest zbiegiem sowieckim, to kula w łeb. I to moralne takie wątpliwości. Sami nie potrafiliśmy rozstrzygnąć. Czekaliśmy aż przyjedzie szef, Władysław Frasyniuk. Okazało się, że on dopiero wieczorem ma być. Nikogo więcej nie wtajemniczyliśmy. Tylko ja i ten kolega Roman.